

## „Alicja z krainy wspomnień”

### „Pociąg do nowego życia”

Mijał piąty rok, od kiedy skończył się ten koszmar. Wszystko powoli wracało do normalności, choć do rzeczywistości sprzed wojny była jeszcze długa droga. Ludzie krok po kroku przyzwyczajali się do powojennego trybu życia. Każdy młody i zdrowy człowiek, bez względu na płeć, miał przed sobą raczej małe możliwości rozwoju: praca na roli w nowotworzonych PGR-ach, produkowanie jedzenia dla jak największej ilości ludzi, odbudowa zniszczonego kraju. W końcu, jak to po wojnie, wszystkiego brakowało. Nie miałam dużego wykształcenia, bo kiedy ten cały koszmar się rozpoczął, miałam tylko 13 lat, ale nie chciałam dalej żyć w taki sposób. Pragnęłam czegoś więcej. Ja i moje sześcioro rodzeństwa postanowiliśmy wyruszyć w drogę. Każdy z nas ze wschodnich krańców Polski poszedł w inną stronę w poszukiwaniu lepszego życia. Zdecydowałam, że moim celem są ziemie zachodnie. Wsiadłam do pociągu, który kierował się w stronę Koszalina. Miałam nadzieję, że to będzie pociąg do nowego życia. Jak później miało się okazać, nie pomyliłam się.

Podczas drogi widziałam smutne twarze innych, podobnych do mnie podróżników. Ja natomiast nie traciłam pogody ducha. Siedząc obok okna i rozmyślając, zobaczyłam nagle w szybie odbicie wysokiego mężczyzny.

- Czy to miejsce jest zajęte? - zapytał.

- Nie, proszę siadać śmiało - odpowiedziałam z lekkim uśmiechem na twarzy.

Zaczęliśmy rozmawiać, bo cóż innego można w takiej podróży robić. Dużo się o nim dowiedziałam. On o mnie też. W końcu znalazłam osobę, która sprawiła, że dzień stał się odrobinę lepszy.

Mój nowy kolega miał na imię Stanisław. Był o cztery lata młodszy ode mnie, ale wcale nie zwróciłam na ten fakt uwagi. Był wysoki i szczupły, ale dobrze zbudowany. Miał trzech braci i trzy siostry. Jedna z nich – Wiktoria – niestety zmarła po wyjeździe do Francji jeszcze przed wybuchem wojny. Pamiętam, że Staszek opowiadał tę historię z nutą smutku w głosie. Jako małemu chłopcu w pamięci została mu rozpacz mamy, która o śmierci córki dowiedziała się z listu i nigdy nie miała okazji osobiście się z nią pożegnać, czy pochować na polskiej ziemi. Ja także opowiedziałam mu trochę o swojej rodzinie. Powiedziałam mu po kolei o moich braciach – Janie,

Józefie i Edwardzie – oraz o moich siostrach – Józefie, Zofii i Annie. Parę godzin później moja twarz lekko posmutniała. Stanisław widocznie to zauważył.

- Coś się stało, Ewo? - zapytał z zakłopotaniem w głosie.

- Nie, tylko myślę o mojej rodzinie i o tym, czy kiedykolwiek się jeszcze spotkamy.

Nie odpowiedział nic, ale nostalgia w jego oczach pozwalała mi sądzić, że też o tym rozmyślał.

W ciszy przesiedzieliśmy ostatnie godziny jazdy, od czasu do czasu wymieniając zdawkowe uwagi o tym, co mijaliśmy po drodze.

W końcu wysiedliśmy na stacji w Koszalinie. Od razu wiedzieliśmy, że nasza wspólna podróż nie skończy się tylko na jeździe pociągiem. zaproponowałam chłopakowi wspólne osiedlenie się w jakimś mieszkaniu.

- Wspaniały pomysł – odpowiedział radośnie. – Skoro oboje jesteśmy sami, musimy trzymać się razem.

Zamieszkaliśmy w naprawdę małym mieszkaniu, gdzie było ledwo miejsca, aby postawić walizkę. Niezbyt nam to przeszkadzało, prawdę mówiąc. Byliśmy młodzi, pełni nadziei i powoli zakochiwaliśmy się w sobie. Bardzo chciałam, aby to był koniec naszej wędrówki, ale to był dopiero początek. Stanisławowi nie przeszkadzała ciężka praca. Jako traktorzysta dobrze się odnajdywał na roli, lecz ja wolałam skupić się na obowiązkach domowych. Niestety, ziemie nacjonalizowano, zabudowania poniemieckie zamieniano w państwowe gospodarstwa rolne. Bardzo mi się to nie podobało, więc wraz z moim przyjacielem znowu się przeprowadziliśmy. Nie było to łatwe zadanie, bo nie wiedzieliśmy, gdzie jechać, nikt też na nas nie czekał. Zorganizowanie transportu też nie było łatwe. Znaleźliśmy jedyny pociąg do innego miasta i bez zastanowienia wsiedliśmy do niego. Podróż minęła szybko. W ten sposób znaleźliśmy się w Bojadłach, małej wiosce w okolicach Zielonej Góry. Była to skromna wieś, gdzie nie mieszkało zbyt wiele osób. Mieszkaliśmy w małym domku przez parę miesięcy. W końcu wspólnie zdecydowaliśmy, że tak mała wieś nie jest tym, czego szukamy.

- Jeśli chcesz, to możemy pojechać do mojego stryja – zaproponowałam. – Mieszka w Lisowicach. Właśnie wrócił z przymusowych robót w Niemczech i objął gospodarkę niedaleko Legnicy.

Stanisław zgodził się i od razu zaczęliśmy się pakować. Po raz kolejny zajęło nam to trochę czasu, aby znaleźć transport. W końcu jechaliśmy do miejsca, w którym mieliśmy szansę na lepsze

życie.

U stryja Walentego zaczepiliśmy się na krótką chwilę i zaczęliśmy szukać nowego, tym razem własnego mieszkania. Po paru tygodniach znaleźliśmy je w sąsiednich Prochowicach. Wydawały się spokojne, ale nie aż tak bardzo, żeby nam się to nie podobało. Po długim czasie wszystko zaczęło się układać. Stanisław znalazł pracę w Państwowym Ośrodku Maszynowym, gdzie jeździł traktorem. Woził transporty cegieł i gruzu do Wrocławia, aby mogły trafić na odbudowę Warszawy, którą w czasie wojny Niemcy zrównali z ziemią. Już wtedy wiedziałam, że chcę dzielić życie z tym człowiekiem i stworzyć z nim rodzinę.

W lutym 1951 roku ja i Stanisław pobraliśmy się. Niedługo później urodziła nam się córka Danuta, a po niej dwóch synów. Starszemu daliśmy na imię Jan, a młodszemu Zbigniew. Kiedy Staszek został przeniesiony do oddziału POM w Legnicy, nie spodobało mu się to i znalazł nowe zajęcie. Zatrudnił się w garbarni w Prochowicach. Jego szef wstawił się za nim i otrzymaliśmy od władz mieszkanie na ulicy Kochanowskiego. Staszek pracował, a ja mogłam w spokoju zająć się domem, dużym ogrodem i rodziną.

Życie w powojennej rzeczywistości nadal nie było łatwe, ale nadzieja, którą mieliśmy w sercach, nadzieja na lepsze życie dla naszych dzieci, dodawała sił. Chcieliśmy ich wychować na dobrych ludzi i wykształcić, aby każdy mógł iść swoją drogą, łatwiejszą od naszej. W naszym wspólnym życiu nie brakowało radosnych i wzniosłych momentów, a także tych trudnych wynikających z niespodziewanych przeszkód. Jednak ani razu nie żałowałam, że podjęłam decyzję, by wsiąść wtedy do pociągu. Jak się okazało był to pociąg do nowego życia.

Postanowiłam napisać to opowiadanie nieco z przymusu. Zapropionowała mi to moja polonistka. Jednak odkrywanie historii moich przodków – Ewy i Stanisława Bąbów - stało się dla mnie ciekawą przygodą. Nigdy nie miałam okazji poznać moich pradziadków. Prababcia zmarła na długo przed moimi narodzinami, pradziadek – trzy lata po. Z opowiadań mojego dziadka – Jana Bąby- dowiedziałam się, że oboje byli naprawdę dobrymi, sympatycznymi i pozytywnie nastawionymi do świata ludźmi. Mimo iż na początku byłam sceptycznie nastawiona do tej pracy, zbliżyła mnie ona bardzo do rodziny. Dziś wiem, że gdybym z niej zrezygnowała, straciłabym wiele informacji na temat swojej tożsamości. Wspólnie z rodzicami i dziadkami siedzieliśmy przy stole, przy upieczonym przez babcię cieście, i wtedy dowiadywałam się przeróżnych ciekawych historii. Teraz bardziej doceniam czasy, w których przyszło mi żyć oraz wszystkie możliwości, jakie ja mam. Lepiej rozumiem także swoich dziadków i rodziców, gdyż wiem więcej o ich

przodkach. Ale nade wszystko cieszę się, że niejako przedłużyłam życie moich pradziadków, bo przecież „Człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim”.



Stanisław Bąba



Ewa Bąba



Pradziadkowie – Ewa i Stanisław Bąbowie – na początku znajomości oraz w czasie I komunii świętej mojego dziadka – Jana Bąby